

# KOMINIARSKI WIERCH

TEKST: Michał Jagiełło ZDJĘCIA: Bartek Czapski



**Michał Jagiełło**

Ur. 23 VIII 1941 r. w Janikowicach (obecnie woj. małopolskie), pisarz i publicysta, alpinista; wspinaczki w Tatrach, Alpach, Kaukazie, Pamirze, górach Turcji; ratownik GOPR i TOPR, 1972-1974 naczelnik Grupy Tatrzańskiej GOPR. Opowiadania i powieści o współczesnej tematyce psychologiczno-obyczajowej (Hotel klasy lux, 1978; Bez oddechu, 1981; Studnia, 1985), których tłem jest najczęściej górski krajobraz (Obsesja i inne góry, 1994; Trójkątna turnia, 1996; Za granicą grań, 1998; Jawnie i skrycie, 2000); publicystyka górską, m.in. książki o ratownictwie tatrzańskim; Wołanie w górach, 1979 (wyd. 6, 2002); Gałązka kosodrzewiny, 2000; współautor pracy Tatry w poezji i sztuce polskiej, 1975.

Długo pamiętano o tym, co wydarzyło się grudniową nocą 1973 roku. 7 grudnia o godz. 10.00 ze schroniska na Hali Ornak wyruszyło kilku grotołazów z zamiarem podejścia na Halę na Stołach do otworu jaskini Bańdzioch znajdującej się w Kominiarskim Wierchu. Dźwigano plecaki po około 15 kg każdy, plan zakładał bowiem penetrację jaskini, co miało zająć około dwunastu godzin. Jednak trudne warunki na podejściu – kopny śnieg, silny wiatr, początek zamieci – oraz niewątpliwie słaba kondycja fizyczna niektórych członków zespołu powodowały, że marsz był powolny. Od Hali na Stołach poruszanie się było jeszcze bardziej utrudnione, z uwagi na coraz głębszy śnieg; miejscami musiano wręcz drążyć tunel w sypkim śniegu sięgającym po pachy.



gów – że dzieje się z nim coś groźnego. Nucił ponoć nawet jakąś melodię. Sytuacja potworzyła się niemal identycznie: nagle zaczął bredzić, nie poznawał kolegów, a wyciągnięty na platformę nie przyjął już podawanej mu z termosu gorącej herbaty. Na nic zdały się zabiegi reanimacyjne, przebranie w suchą kurtkę, wygodne ułożenie. W ciągu około pół godziny, prawdopodobnie między 22.00 a 22.30, dwóch młodych ludzi przestało żyć. Pozostała trójka przesiedziała przy zwłokach całą noc i rano rozpoczęła odwrót drogą podejścia. 8 grudnia o godz. 13.00 kierownik nieszczęsnej wyprawy zawiadomił telefonicznie z Kir Pogotowie Górskie: Około 150 metrów nad otworem jaskini Bańdzioch zmarło z wyczerpania dwu grotołazów. Ratownik dyżurny poprosił mnie do telefonu i sam, na własne uszy usłyszałem ten nieprawdopodobny meldunek. Nie spadli, po prostu zmarli z wyczerpania. W niespełną godzinę później kierownik siedział w Stacji Centralnej Grupy Tatrzańskiej GOPR i spokojnym głosem relacjonował przebieg owego fatalnego dnia. Nagrywaliśmy tę opowieść – za jego zgodą oczywiście – zdając sobie sprawę, że jesteśmy świadkami czegoś niezwykłego nawet dla nas, ratowników, przywykłych do sytuacji niecodziennych. Jeśli z pięcioosobowej grupy rówieśników umiera z wyczerpania dwóch, a pozostali noszą te same warunki bez szwanku, to jest to rzeczywiście trudne do zrozumienia.

W pewnym momencie, będący jako drugi na linii, Mieczysław W. nagle – według relacji kolegów – zaczął tracić przytomność i z dużym trudem został wyciągnięty na wspomnianą platformę. Można przyjąć niemal za pewnik, że na platformę biwakową wyciągnięto już martwego grotołaza, nie odzyskał bowiem przytomności mimo prób stosowania masażu serca i sztucznego oddychania. W tym czasie czwarty na linii Andrzej K. stał spokojnie na swym stanowisku i nic nie wskazywało – to znów zdanie kole-

trzańskiej GOPR i spokojnym głosem relacjonował przebieg owego fatalnego dnia. Nagrywaliśmy tę opowieść – za jego zgodą oczywiście – zdając sobie sprawę, że jesteśmy świadkami czegoś niezwykłego nawet dla nas, ratowników, przywykłych do sytuacji niecodziennych. Jeśli z pięcioosobowej grupy rówieśników umiera z wyczerpania dwóch, a pozostali noszą te same warunki bez szwanku, to jest to rzeczywiście trudne do zrozumienia.

Sekcja zwłok nie rozwiązała zagadki.

Około godziny 15.00 grotołazi znaleźli się w żlebie Żeleźniak, gdzie teren stawał się już stromy i zmuszał do użycia liny. Biorąc pod uwagę zmęczenie uciążliwym podejściem i późną jak na grudzień porę dnia, był najwyższy czas, aby zaprzestać dalszego podejścia i albo zawrócić po własnych śladach, albo biwakować w zacisznym lesie. Cała piątka związała się jed-

ną liną długości 40 metrów i początkowo stromym żlebem, a następnie wznoszącymi się w lewo eksponowanymi trawersami, po wąskich trawiastych półkach, stopień za stopniem, pięła się w górę.

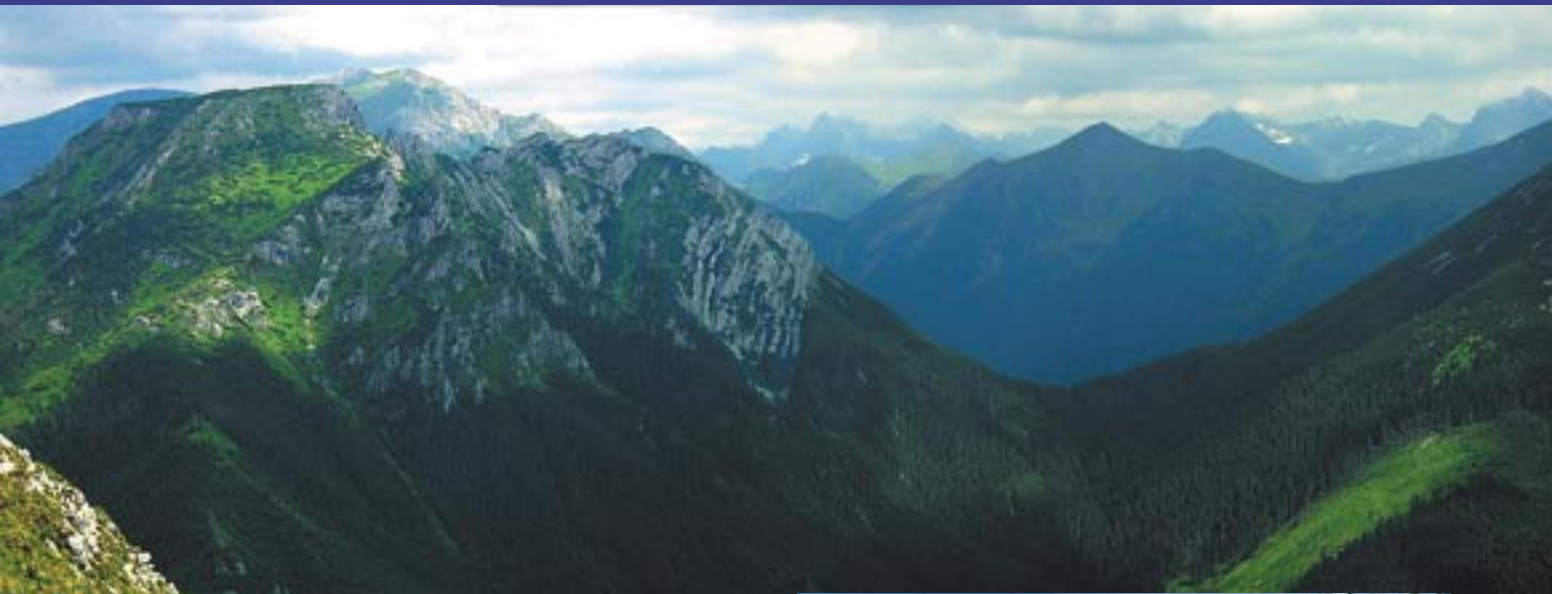
Zapadła noc, a z nią nasilał się wiatr. Trudny (choć w skali taternickiej łatwy) teren wymagał napiętej uwagi i pochłaniał godzinę za godziną, tym bardziej że jeden z grotołazów – Andrzej K. – zaczął uskarżać się na zmęczenie i koledzy zmuszeni byli przejąć jego plecak. Jeszcze nawet wtedy była możliwość wycofania się do zbawczego lasu. Posuwali się mimo to wciąż wyżej, tracąc zapewne w zapadających ciemnościach orientację i zbaczając z trasy wiodącej do otworu jaskini. Wreszcie około godz. 21.30 prowadzący grupę dotarł do wygodnej platformy, osłoniętej od przepaści kilkoma rosnącymi tam świerczkami, i w tym miejscu postanowił założyć biwak.



# 0 601 100 300

NUMER RATUNKOWY W GÓRACH

Plus 

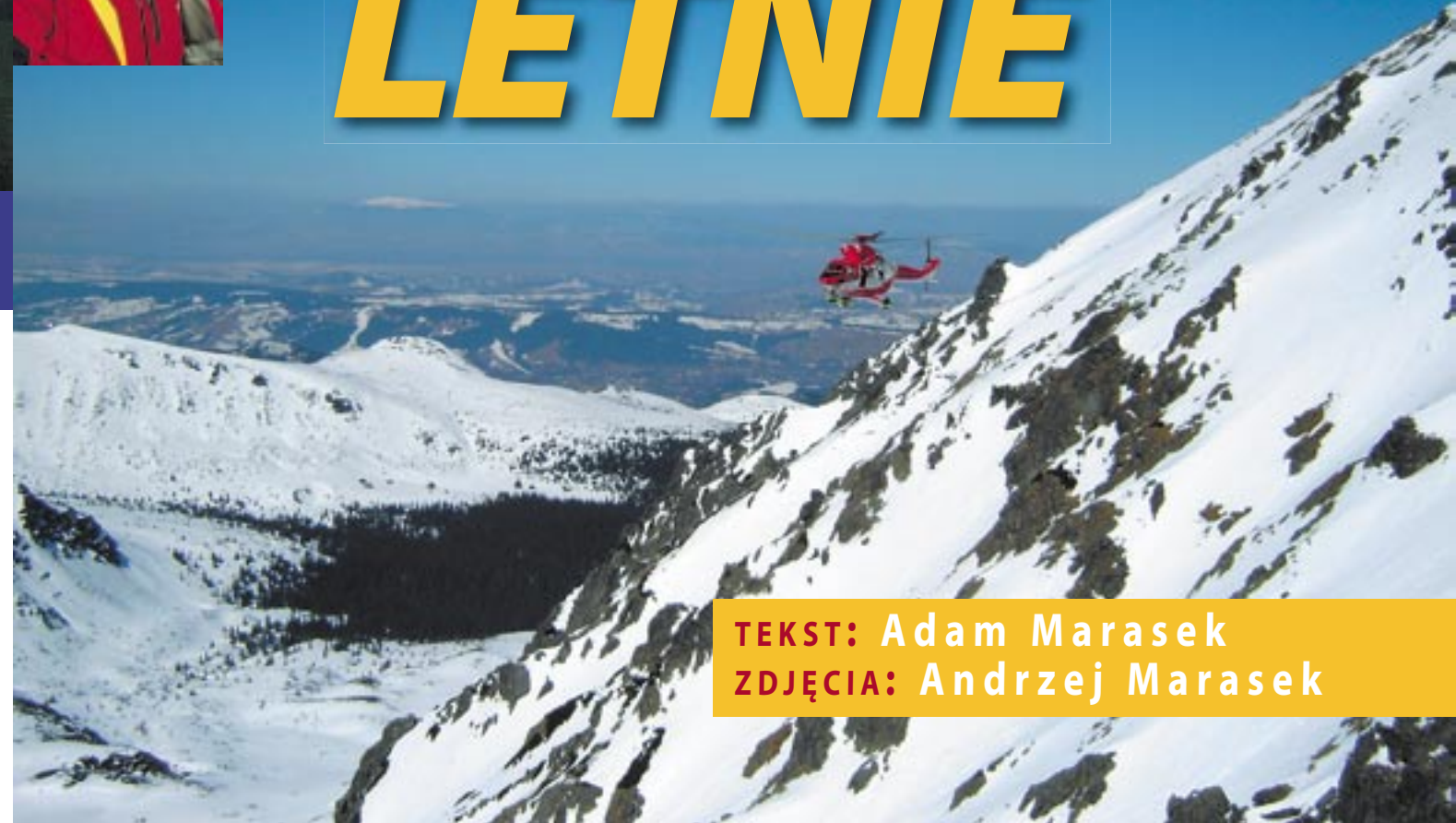


ADAM MARASEK – zastępca naczelnika TOPR, przewodnik tatrzański.



TATRACH

## WYPADKI LETNIE



**TEKST: Adam Marasek**  
**ZDJĘCIA: Andrzej Marasek**

Choć właściwie zagadek nie było. Poza tą jedną, że nie wiemy, dlaczego ktoś potrafi przeżyć w górach kilka dni w skrajnie nie sprzyjających warunkach, a inny umiera już po paru godzinach. Cały czas mówię tu o ludziach w zasadzie zdrowych, bez poważnych wad serca. Decyduje tu zapewne indywidualna odporność organizmu na niskie temperatury, a to w znacznym stopniu jest uzależnione od psychiki. Góry to takie miejsce, gdzie rola psychiki ujawnia się w sposób wyjątkowy. Lęk może wprost zabić człowieka, choćby nawet nie zagrażało mu żadne fizyczne niebezpieczeństwo (na przykład lawina śnieżna czy kamienna, odpadnięcie od skał). W sytuacjach, w których trzeba niesłuchanie oszczędnie gospodarować ciepłem zmagazynowanym w organizmie, broniąc się przed chłodem i szczególnie wyniszczającym tu wiatrem, często warunkiem przetrwania jest umiejętność myślenia na zwolnionych obrotach. Jeśli nie chce się stracić zbyt wiele energii, nie powinno się obciążać mózgu, który jest najbardziej zachłanną częścią naszego ciała na tlen i „paliwo”. Umiejętność zmniejszenia wysiłku psychicznego staje się często „być albo nie być”. Tę swoistą zdolność zdobywa się drogą kolejnych doświadczeń i im mniej jest sytuacji, które nas zaskakują (a więc i wprowadzają w panikę), tym spokojniej przyjmujemy przeciwności natury i losu. Świetnie wysportowani mężczyźni, znający góry tylko pogodne, stają się bezradni wobec nieznanych, groźnych, przerażających sił, gdy tylko otoczy ich mgła, uderzy gdzieś piorun, lub rozpęta się zamieć. Wtedy tak łatwo wpaść w panikę i zacząć gorączkowo myśleć, a wyobraźnia podsuwa wszystko co najgorsze i nie ma mowy o racjonalnej gospodarce własnymi zasobami energii, która katastrofalnie szybko potrafi „wyparować” w nieskoordynowanych ruchach i przede wszystkim w gonitwie myśli.

O tym wszystkim nie wie zazwyczaj młody turysta, narciarz, taternik, grotolaz i nawet nie chce wiedzieć, uważając wszelkie przestrogi za głądzenie cioci, która siedzi na kanapie i ma młodym za złe. Dopiero gdy owi młodzi znajdują się w górach i nagle przyjdzie im walczyć o życie, wtedy doceniają wartość doświadczenia. Bywa jednak, że pierwsze doświadczenie jest zarazem ostatnim. ▲

Na podstawie książki „Wołanie w górach”



Po wszystkich szlakach wędruje wielu turystów: młodzi, starsi, mniej lub bardziej doświadczeni, lepiej lub gorzej wyekwipowani. Zdecydowana większość z nich wędruje łatwymi szlakami do Morskiego Oka, Doliny Kościeliskiej czy w Dolinki Regłowe. Bardziej ambitni starają się wyjść na Giewont, przejść Czerwone Wierchy. Sporo turystów za cel stawia sobie wyjście na Rysy, czy przejście Orlej Perci. Takie wędrowanie daje ogrom przeżyć, możliwość podziwiania wspaniałych tatrzańskich widoków, ale dla tych, którzy mieli mniej szczęścia, popełnili jakieś błędy przy planowaniu wycieczki, czy w czasie wędrowania, wycieczki kończą się wypadkiem.

**2.07. 2004 r.**

Godz. 16.10. Do Centrali TOPR dociera informacja, że w Żlebie Kulczyńskiego poważnie zasłabła turystka. Nie jest w stanie poruszać się o własnych siłach. Konieczna szybka pomoc. W rejon wypadku ratownicy zostają przetrzuceni śmigłowcem. Ponieważ jest to mały śmigłowiec Mi-2 ratownicy po dwóch zostają przewożeni do Koziej Dolinki, skąd dalej pieszo udają się na miejsce, gdzie na pomoc oczekuje turystka. W pierwszej ekipie ratowników jest lekarz TOPR z odpowiednim zestawem sprzętu do reanimacji. Okazuje się, że turystka znajduje się w połowie Żlebu. Jej stan jest dość poważny. Lekarz aplikuje stosowne leki, ratownicy przy-





gotowują nosze, do których pakują turystkę. Następnie w trudnym eksponowanym terenie opuszczają ją na linach do podstawy Żlebu i znoszą nad Czarny Staw, skąd zabiera ją śmigłowiec i przewozi do szpitala. Turystką okazała się 51-letnia mieszkanka Kudowy Zdroju.

Jak doszło do wypadku? Wypadek zdarzył się po południu, na Orlej Perci, trudnym, eksponowanym szlaku, którym turystka wędrowała wiele godzin, nie licząc dojścia. Tego dnia w Tatrach było bardzo ciepło. Wy-

soka temperatura, trudy długotrwałej wędrowki, a być może jakieś wcześniejsze problemy zdrowotne, to wszystko skumulowało się tego dnia i doprowadziło do poważnego zasłabnięcia. Dobrze, że była lotna pogoda i ratownicy w miarę szybko byli w stanie udzielić pomocy turystce i wszystko dla niej zakończyło się szczęśliwie.

### 3.09.2004 r.

Podobny wypadek zdarzył się pod Starorobociańskim Wierchem. O godz. 15.45 do

Centrali TOPR dzwoni turysta informując, że na szlaku pomiędzy Starorobociańskim Wierchem a Raczkową Przetęczą zasłabł jego kolega. Jego stan jest poważny. Szczęście, że jest lotna pogoda. Śmigłowcem Mi-2 ratownicy zostają przewiezieni w tamten rejon. Desantują się z pokładu śmigłowca, który zawisa w pobliżu oczekującego na pomoc turysty. Ratownicy podają turyście stosowne leki, pakują go do noszy i znoszą w miejsce, gdzie może przyziemić śmigłowiec, aby można włożyć na jego pokład chorego turystę. Nadlatuje śmigłowiec i po chwili zabiera turystę do szpitala. Każdy, kto zna choć trochę topografię Tatr, wie, że wędrowka na Starorobociański Wiech zajmuje wiele godzin. Aby wyjść na ten szczyt, trzeba pokonać znaczną różnicę wysokości. Wycieczka taka wymaga wiele sił i dobrej kondycji. Turystą okazał się 66. letni mieszkaniec Warszawy, który jak się przyznał ratownikom, przeszedł już wcześniej dwa zawały. Na pytanie, czy warto tak ryzykować życiem – odpowiedział, że Tatry to jego miłość, chodzi już po nich wiele lat i zawsze z niecierpliwością czeka chwili, by znów tu przyjechać i po nich wędrować.

Cóż na to odpowiedzieć? Należy apelować tylko o zdrowy rozsądek i prosić wszyst-



kich tych, którzy mają jakiegokolwiek dolegliwości sercowe, aby zapytali wcześniej swojego lekarza, czy ich stan zdrowia pozwala na przyjazd w Tatry i tak forsowne wędrowanie. Zarówno dla turystki w Żlebie Kulczyńskim jak i dla turysty pod Starorobociańskim te wycieczki mogły być ostatnimi w ich życiu.

### 21.07.2004 r.

Od rana w Tatrach jest ładna pogoda zachęcająca do wędrowek. Około południa pogodna gwałtownie się psuje. Od południa nadciągają czarne chmury. Około 13-tej zaczyna się gwałtowna burza. Z Zakopanego widać, jak w wierzchołek Giewontu uderzają pioruny. O godz. 13.25 do TOPR dzwoni turysta informując, że pod kopułą szczytową Giewontu porażone piorunem zostały 3 osoby. Śmigłowcem Mi-2 w tamten rejon lecą ratownicy TOPR wraz z lekarzem. Po desancie w rejonie wypadku okazuje się, że porażone osoby są przytomne, ale w dość poważnym stanie. Ratownicy udzielają im pierwszej pomocy, przekazują na pokład śmigłowca, którym w kolejnych lotach przewożeni są do szpitala. W trakcie tych działań ratowniczych, kolejne wezwanie. Okazuje się, że na Kopie Kondrackiej piorun poraził kolejną trójkę turystów. Ich stan jest dość poważny. Śmi-

głowiec przewozi w tamten rejon kolejnych ratowników, którzy po udzieleniu rannym pierwszej pomocy po kolei przekazują ich na pokład śmigłowca i przewożą do szpitala. Okazuje się, że to nie koniec na tym. W czasie trwania akcji ratunkowej na Kopie Kondrackiej ratownicy zostają poinformowani, że na Kalatówki dotarło dwoje turystów, któ-

rzy zostali rażeni piorunem pod Giewontem. Ich stan pogorszył się na tyle, że nie są w stanie dalej schodzić. Ratownicy samochodem przewożą ich do szpitala.

Jedna burza – 8 porażonych osób. Czy można było uniknąć tego wypadku?

Burza, choć przychodzi szybko, to nie na tyle gwałtownie, by nie móc przed nią ja-







Stawów informuje Centralę TOPR, że podczas zejścia z Pięciu Stawów szlakiem wzdłuż Siklawy turysta złamał nogę. Ze Stawów na miejsce wypadku wychodzi ratownik, który ma za zadanie udzielić pierwszej pomocy rannemu turyście. Z Zakopanego do Wodogrzmotów wyjeżdża grupa ratowników, którzy mają przetransportować rannego do szpitala. Ponieważ jest kiepska pogoda, nie można użyć śmigłowca, cała wyprawa przebiega klasycznie i ranny turysta dopiero około 21-szej dociera do szpitala.

Jak doszło do wypadku?

Od kilku dni w Tatrach padał intensywnie deszcz. Wezbrały potoki, szlaki zrobiły się śliskie. Turysta, schodząc po mokrych pochylonych skałach w górnej części szlaku, poślizgnął się i spadł parę metrów, łamiąc nogę. Chwila nieuwagi, kiepskie, śliskie obuwie, upadek - wypadek, ból, kilka miesięcy leczenia, długa rehabilitacja.

Cóż radzić w takich wypadkach?

Po pierwsze, najważniejszą rzeczą są dobre, górskie buty, na wibradowej podszewce, która nie ślizga się na mokrych skałach czy kamieniach.

Niestety w przekonaniu większości „turystów”, którzy okazjnie wędrują po Tatrach, górskim obuwiem są buty typu „adidas”. Po drugie, gdy jest mokro, ślisko, powinniśmy być bardziej czujni, uważniej stawiać stopy, patrzeć pod nogi, a widoki podziwiać dopiero, gdy się zatrzymamy. Tu chciałbym przypomnieć starą narciarską maksymę: „złamanie trwa sekundę, a leczenie długie miesiące”. Dlatego nie warto oszczędzać na dobrym, markowym, górskim obuwiu. ▲

koś się schronić. Jest zasada, że z chwilą gdy widzimy oznaki nadciągającej burzy; ciemne, szybko przesuające się chmury, pojawiający się nagle wiatr, a w ostatnim momencie naelektryzowane powietrze, suche trzaski – musimy, choćbyśmy byli kilka kroków od celu wycieczki, zejść z wierzchołka, grani i starać się zejść jak najniżej. Tuż przed burzą, jeśli jesteśmy w grupie, musimy się rozproszyć, usiąść na plecaku, tak by odizolować się od ziemi, wybrać takie miejsce, by nie płynęła tam woda, odsunąć się od kamieni i skał, by nie dotykać ich plecami, siedząc złączyć razem i podkurzyć nogi i cierpliwie przeczekać burzę, która tak jak szybko przyszła, z reguły szybko odejdzie. I dopiero po jej odejściu kontynuować powrót w doliny. W przeciwnym razie, gdy zostaniemy na szczycie czy grani, grozi nam niebezpieczeństwo rażenia piorunem. Kroniki TOPR notują wiele takich wypadków, które kończyły się śmiertelnym porażeniem. Jeśli uda nam się takie porażenie przeżyć, to należy liczyć się z długotrwałym leczeniem, gdyż porażenie zaburza pracę wielu narządów. Najlepiej zapoznać się z aktualną prognozą pogody. Tam z dokładnością do paru godzin można

dowiedzieć się, kiedy możemy spodziewać się burzy. To pozwoli nam właściwie zaplanować wycieczkę lub zmienić plany tak, byśmy bezpiecznie wrócili z gór.

### 28.07. 2004 r.

Wypadek jakich wiele było latem 2004 roku. O godz.17.10 ratownik dyżurny z Pięciu



TEKST:  
Krystyna Sałyga-Dąbkowska

# GAŁĄZKA KOSODRZEWINY

Nazywaliśmy go Mojżeszem. Pamiętam doskonale jego dwumetrową chyba postać, okrągłą, dobroduszną, wiecznie nieogoloną twarz, tubalny głos. Widzę go zawsze, jak przemierza długimi suchymi górskimi perci, z nieodłącznym, szmacianym plecakiem na gołych plecach. Słyszę słowa jego ulubionych piosenek.



**W** rzeczywistości nazywał się Stanisław Groński. Z nim po raz pierwszy zeszedłem ze znakowanej ścieżki turystycznej, by odkryć rozkosz wólcęgi dzikimi szlakami. On pierwszy nauczył mnie skomplikowanego sposobu wiązania się liną, jemu wreszcie zawdzięczam pierwsze emocje na tatrzańskich ścianach.

Darzyłam Mojżesza wielkim uwielbieniem osiemnastoletniej dziewczyny. Byłam szczęśliwa, gdy zapraszał mnie do udziału w wędrowkach. Był dla mnie najlepszym instruktorem i wspaniałym towarzyszem, ideałem człowieka gór. Wędrowki i wspinaczki odbyte z nim pamiętam do dziś dnia. Jego doświadczenia i znajomość Tatr, przekazuję obecnie tym, których wprowadzam w góry.

Mojżesz był przy mnie, gdy pierwszy raz zobaczyłam w górach śmierć. W słonecznej pogodnej dolinie Pięciu Stawów, w beztróskim nastroju pobytu w górach, ujrzałam nagle dziwny pochód. Idący przodem mężczyźni dźwigali na ramionach ludzki kształt umieszczony na długim, błyszczącym drągu. Szli wolno, ostrożnie, podtrzymywani przez towarzyszy.

– Co się stało? – zapytałam, tknięta jak najgorszym przecuciem. Nigdy nie widziałam wypadku w górach, nie zdawałam sobie sprawy, jak wygląda ratownictwo.

– Ktoś zginął – powiedział Groński. Jego zawsze pogodna twarz dziwnie poszarzała w tym momencie.

Nie mogłam oderwać wzroku od nieruchomego kształtu, lekko kołyszącego się w siatce bambusa.

– Och, Mojżesz – zawołałam – Może on żyje? Może jest tylko ranny i nie może iść sam... Skąd wiesz, że to umarły?

– Na pewno nie żyje – odparł mój towarzysz – Spójrz, przykryli go kosówką.

Teraz dopiero zauważyłam gałązki kosodrzewiny tkwiące w siatce okrywającej zwłoki.

– Co to znaczy?

– Widzisz – mówił Groński – gdy ktoś ginie w górach, żegna się go gałązką kosówki. Taki zwyczaj trwa od lat. To jakby pożegnanie z górami, rozumiesz?

Z pobliskiego krzaka ułamał gałązkę i umieścił obok innych w siatce

bambusa. Zielone igielki spoczęły na zakrwawionej płachcie.

– Ta gałązka będzie od nas, wiesz? Dużo tych gałązek się zgubi, ale może jakaś zawędruje na grób. Będzie miał pamiętkę z gór, które kochał...

Byłam ogromnie przejęta tym wydarzeniem, ale Groński nie kwapił się do dalszej rozmowy. Może przypomniał sobie swoje przeżycia, kiedy w górach stracił przyjaciela. Nie chciałam pytać więcej. Wstał, zarzucił plecak na ramię, dał znak do odmarszu. Musiałam mieć jednak bardzo nieszczęśliwą minę, bo nagle, z niespotykaną u niego serdecznością, pogładził mnie po włosach.

– Śmierć w górach jest brzydka – powiedział. – Brzydka i brutalna. Nie ma w sobie nic z romantyzmu czy poezji, prawda. Och, góry bywają okrutne...

A potem roześmiał się i dodał:

– A nie zapomnij wsadzić mi do bambusa kosówkę, pamiętaj. Swoją drogą nie zazdrościsz tym, co będą musieli mnie znosić. Słowo daję, nie zazdrościsz...

Musiałam też się roześmiać. Mojżesz był okropnie wielki i ciężki.

Wiele razy później widziałam w górach śmiertelne wypadki. Z czasem, przestały nawet być dla mnie wstrząsającym przeżyciem. Ale zawsze wzrusza mnie zielona gałązka kosówki, wetknięta w siatkę bambusa, wzruszając ludzi, którzy zachowują tę sentymentalną tradycję. Jest to chyba jedyny, naprawdę uroczysty moment w brutalnej akcji transportu zwłok w górach.

\*\*\*

Stanisław Groński zginął w Alpach, w sierpniu 1957 roku w czasie traversowania grani Mont Blanc. Przypuszczalnie porwała go lawina. Mimo poszukiwań, nie odnaleziono zwłok. Nie znany jest biały grób, w którym spoczywa jego ciało.

Nie potrafię opisać wrażenia, jakie wywołała wieść o wypadku. Stała mi żywo przed oczami roześmiana, dobroduszna twarz, tak serdecznie lubianego Mojżesza. Straciłam kogoś bliskiego, szczerego przyjaciela, najlepszego towarzysza górskiego.

I wtedy pomyślałam, że nie mogę spełnić jego prośby, nie jestem w stanie dać mu zielonej gałązki tatrzańskiej kosodrzewiny. Daleko, w chłodnych Alpach, został pozbawiony nawet takiej pamiętki z Tatr, które kochał tak bardzo.

Nie wstydiłam się łez... ▲